

ZGAŚ ŚWIATŁO I POZWÓL SOBIE ZGRZESZYĆ.

KLAUDIA KUPIEC

Striptizerka
Z LAS VEGAS

DANSE MACABRE #1



Copyright © 2024
Klaudia Kupiec
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Alicja Szalska-Radomska

Karolina Piekarska

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-151-7

KLAUDIA KUPIEC

**STRIPTIZERKA
Z LAS VEGAS**

DANSE MACABRE #1

OŚWIĘCIM 2024

Dla wszystkich skrzywdzonych dusz

*Wiem, że nie widzicie dla siebie ratunku, ale zaufajcie
miłości, ona wyciągnie was z mroku*



Prolog: Koszykar.

Gabriel stał w szarości otulającej go z każdej strony. Miał wrażenie, że gdy tylko postawi krok, rozciągająca się wokół niego nicłość wchłonie go na zawsze. Nie czuł nic poza niewyobrażalnym lękiem, który sprawiał, że bicie jego serca odbijało się echem w skroniach.

Nie był w stanie zapanować nad drżącymi rękoma.

Czuł zapach siarki, a na jego barkach spoczywał potężny ciężar presji, który był na tyle silny, że ugiął jego kolana. Przygnieciony balastem, starał się iść. Zrobił ciężki krok, a za nim kilka następnych, w stronę budynku z cegły. Co jakiś czas zatrzymywał się i łapał oddech, zastanawiając się, czy doniesie wszystkie zmartwienia ciężące mu na ramionach.

Upadł.

Spojrzał przed siebie i wyciągnął dłoń. Nie mógł się poddać. Ten budynek znajdował się tak bardzo blisko. Bliżej niż zazwyczaj. Przecież mógł to wszystko naprawić i ich uratować. Wystarczyło tylko, żeby udało się mu złapać za klamkę ciemnych drzwi, z których schodziła farba.

– Gabrielu? – usłyszał za plecami, a to sprawiło, że momentalnie się odwrócił.

Ujrzał ich. Szyję każdego oplatała gruba lina, a oni sami stali na niskich taboretach.

– Co czujesz za każdym razem, gdy powracamy?

– Nie, błagam – wypowiedział mimo suchości w gardle, czując w ustach dziwny, nieco metaliczny posmak. – Tym razem mi się uda. Wytrzymajcie. Musicie dać mi tylko kilka minut.

– Przecież nigdy się nie udaje. – Kobieta w białej sukience powoli poszerzała uśmiech, a jej humor udzielił się reszcie wisielców. – Poza tym... przecież lubisz samotność, Gabrielu. – Wszyscy jednocześnie zrobili krok w przód, kopiąc na bok taborety.

Zawisnęli.

– Nie! – Wiatr niósł ich śmiech i ciche słowa „to twoja wina”.

Gabriel zerwał się do biegu i objął kolana kobiety, gdy tylko się przy niej znalazł.

– Mamo, proszę... Vivien, Tobias...



Automatycznie podniósł się do pozycji siedzącej i przetarł twarz dłońmi. Nie mógł uwierzyć, że widma znów przyszły go dręczyć, choć jednocześnie odniósł wrażenie, że już się do nich przyzwyczyił. Światło lampki nocnej nadało nieco ciepła jego sypialni, kiedy wcisnął pstryczek umieszczony na środku kabła. Rozejrzał się dookoła, próbując uspokoić przyspieszone bicie serca, wywołane przerażeniem, które sprawiało, że obraz przed oczami solidnie się rozjeżdżał. Sięgnął po tabletki przepisane przez lekarza oraz szklankę wody, którą postawił wieczorem na szafce nocnej. Drżącymi rękoma odkrył nogi i równie ciężko, co w sennym koszmarze, ruszył w stronę okna, wzięwszy swoją komórkę.

Otworzył okno i położył dłonie na parapecie. Tak bardzo potrzebował poczuć rześkie, styczniowe powietrze na skórze. Zamknął oczy i zaciągnął się chwilową beztroską, odgania-

jąc sprzed oczu widma. Uwielbiały powracać do niego co noc i zawsze być blisko. Dręczyły go także, kiedy był zupełnie sam. Przychodziły, aby czerpać radość z jego strachu. Zawsze czekały ukryte gdzieś w mroku, przypominając o sobie tylko śmiechem kłębiącym się niczym kurz gdzieś w zakamarkach nie tylko jego duszy, ale także rezydencji.

Mężczyzna wybrał numer z listy kontaktów i przyłożył telefon do ucha.

– Prywatny szpital Summerlin. W czym mogę pomóc? – usłyszał po drugiej stronie.

– Dobry wieczór – wysilił się na taką formę, choć przecież była noc. Jego ton brzmiał szorstko zapewne przez doskwierającą mu suchość w gardle. – Z tej strony Gabriel Shannon. Dzwonię w sprawie ojca...

Duchy to wspomnienia, a my je zachowujemy, ponieważ ci, których kochamy, nie opuszczają świata.

~ Cassandra Clare, *Miasto niebiańskiego ognia*



1) *To, co ją pokochało, to jego mrok.*

Przez ciało Melody przeszła fala ekscytacji, kiedy zaproponowano jej staż lekarski w Las Vegas. W końcu kto nie chciałby mieszkać w mieście owianym taką sławą?

Kolorowe neony, okazje do zabawy i rozrywkowych ludzi można było spotkać tu na każdym kroku.

Jednak niewinna panienka Anderson szybko zdała sobie sprawę, że za każdym z neonów kryje się klub, gdzie bogaci ludzie przegrywają miliony. Radość towarzyszy im tylko wtedy, kiedy zasiadają przy okrągłym stole, potem zaś zabawa i rozrywka zmieniają się w gorycz.

Być może właśnie z tego powodu Las Vegas było nazywane przez tutejszych miastem grzechu. W końcu nietrudno tu o złe uczynki, dlatego posiadało w sobie tyle grzeszników, ile śmiertelnik z drugiego zakątka świata nie potrafiłby nawet sobie wyobrazić. Łatwo oddać wszystko, co najcenniejsze dla ludzkiej duszy, aby ponownie wejść do gry.

Melody starała trzymać się z dala od fałszu, jakim pragnęło ją karmić to z pozoru piękne miasto. Dzięki temu, pomimo ciągłego biegu, żyła spokojnie. A przynajmniej tak jej się wydawało. Poza tym przyszłej pani chirurg nie wypadało bawić się w hazard albo ulegać wszelkim nielegalnym pokusom. Miała zbyt wysokie ambicje i niewyobrażalnie wygórowane marzenia, aby ulec pokusie i to zniszczyć.

Wszystko, co dla niej bezpieczne i co kochała, zostawiła w Los Angeles. Jej upór sprawił, że osiągała najlepsze wyniki nie tylko na roku, ale także olimpiadzie biologicznej. Dla zwycięzcy, poza drogimi upominkami, nagrodą było także roczne stypendium w wysokości tysiąca trzystu dolarów. Gdy dostała propozycję stażu w Las Vegas, nie wahała się nawet sekundy.

Anderson czuła się podłe, zostawiając rodzinę samą, jednak jej rodzicielka zawsze powtarzała, aby rozwój osobisty stawiała na pierwszym miejscu. A przecież Los Angeles i Vegas dzieliło tylko pięć godzin drogi samochodem.

Jednak w tym wszystkim, co wydawało się tak piękne i proste, Melody nie pomyślała o jednym... że ten wyjazd może się okazać trudny.

I taki też się stał.

Pomimo że wcześniej załatwiła wszelkie formalności i dopięła wszystko na ostatni guzik, każdy dzień pokazywał jej, że dobra organizacja nie zawsze wystarczy. Czasami nawet nie wystarczy plan, a potrzebny jest łut szczęścia.

Oszczędności, które przywiozła ze sobą, wystarczyły na zaledwie trzy miesiące życia w Vegas. Perspektywa zostania chirurgiem stanowiła w jej oczach coś więcej niż tylko wizję dobrego życia. Od zawsze uwielbiała pomagać ludziom i kochała medycynę, dlatego nie zamierzała się poddawać. Zresztą nie była kimś, kto łatwo odpuszcza. Nie lubiła prosić o pomoc, ponieważ kochała uczucie, że wszystko, na co zapracowała, było wyłącznie jej zasługą. Nie kolegów, koleżanek, wymagającego ojca, wykładowców, a tylko jej.

Pomimo znikomej ilości gotówki radziła sobie całkiem nieźle. To jednak sprawiło, że musiała wybierać najtańsze produkty w supermarkecie i zapomnieć o nowych ubraniach, choć nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Tego poranka Melody w biegu związała włosy w kucyk na czubku głowy. Chwyciła torebkę, upewniając się, że zabrała

wszystko, co jej potrzebne. W dłoń złapała telefon oraz klucze. Akurat dziś, kiedy miała rozpocząć współpracę u boku ordynatora, każda minuta życia musiała być przeciwko niej. Opuściła mieszkanie i kiedy miała zamknąć drzwi, pęk kluczy wysunął się z jej palców i zabębnił o podłogę.

– Kurwa! – uleciało z jej ust, na których równie szybko wylądowała dłoń.

Rozejrzała się. Chciała mieć pewność, że nikt nie wychylił się z mieszkania i nie usłyszał brzydkiego słowa, jakim uraczyła przestrzeń.

Nie lubiła przeklinać. Uważała, że to nie pasowało do niej i jej charakteru. Jednak jak każdemu, tak i Melody zdarzało się przekląć w emocjach. Zamykając drzwi, nie spodziewała się, że ten poranek będzie pełen nieprzyjemnych niespodzianek, a z jej ust wypłynie więcej przekleństw.

Chcąc zaoszczędzić czas, zbiegła po schodach, aby nie czekać na windę. Odnalazła w torebce klucz do samochodu i szybko usiadła na miejscu kierowcy. Uporczywie przekręcała kluczyk w stacyjce, próbując odpalić silnik. Za każdym razem auto wydawało z siebie zduszony dźwięk, oznajmiając panience, że nie chce z nią dłużej współpracować. Melody zdała sobie sprawę z dramatu, który zaczął się rozgrywać w jej życiu. Akurat w tak ważnym dniu przekłety fiat punto odmówił jej posłuszeństwa.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – krzyczała i z każdym przekleństwem uderzała dłonią o kierownicę.

Zależało jej na tym, żeby dobrze wypaść przed ordynatorem. Jego dobra opinia mogłaby w końcu wiele zmienić w życiu Melody. Opuściła samochód i z impetem trzasnęła drzwiami, po czym kopnęła w koło, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo nie nawidzi tego grata.

Zrozumiała, że dziś szczęście opuściło ją na dobre.

Pomyślała o swojej niedoli raz jeszcze, kiedy pomimo podniesionej ręki każda taksówka ją mijała, a te, które stały zaparko-

wane nieopodał, były już przez kogoś zarezerwowane. Wściekła i zrezygnowana biegiem ruszyła przez zatłoczone uliczki Vegas, co jakiś czas trącając przechodniów barkiem. Chciała dobiec na przystanek na czas, aby załapać się na najbliższy kurs autobusu.

– Przepraszam pana! Śpieszę się. – Wyciągnęła przepraszająco dłoń w kierunku rudego mężczyzny, którego uderzyła ramieniem, i odgarnęła włosy z twarzy.

– Nic się nie stało – odpowiedział, a ona pobiegła dalej.

Chociaż ta jedna rzecz tego poranka się udała. Zdążyła na autobus, ale kiedy wysiadła i pognała w stronę kliniki, zdała sobie sprawę, że i tak jest spóźniona. W płucach poczuła piekący ból, a skóra swędziała ją od wzmożonego przepływu krwi. Przebiegła przez szklane drzwi, a następnie w pośpiechu udała się do szatni. Założyła fartuch, przypięła identyfikator na prawej pierś, a w kieszeń wcisnęła notatnik i kilka długopisów. Całość zajęła jej zaledwie pięć minut.

– Gdzie ordynator? – zapytała kolegę ze stażu, którego napotkała po drodze.

– Cześć, Melody – rzucił z pretensją, jakby chciał zwrócić dziewczynie uwagę na jej brak kultury.

– Cześć, Peter. – Złożyła ręce jak do modlitwy i opuszkami palców delikatnie wodziła po dolnej wardze.

Stresowała się.

– Sala numer pięć – wypowiedział, a stażystka od razu zerwała się do kolejnego maratonu dzisiejszego dnia. – Melody! – krzyknął, zatrzymując ją w miejscu. – Jest wściekły przez twoje spóźnienie.

Zbagatelizowała to. Zresztą nawet się tego domyślała. Nie pierwszy i nie ostatni raz ktoś jest na nią wkurzony. Któregoś dnia, jakoś zupełnie przypadkiem, zdała sobie sprawę, że Henry Osborne w niektórych momentach przypominał jej ojca. Surowego, stanowczego i nienawidzącego słabości oraz porażek. To właśnie po nim odziedziczyła upór w dążeniu do każdego, wymarzonego celu.

Wpadła do sali numer pięć i napotkała gniewny wzrok ordynatora. To spojrzenie wywołało w niej poczucie respektu do mężczyzny. Stała z rękoma wyprostowanymi wzdłuż ciała, a kiedy poczuła, jak drżą, spłotła je w okolicy podbrzusza. On zaś odwrócił wzrok, aby dokończyć obchód. Podenerwowana patrzyła na niego i Kelly, która zajęła jej miejsce i pomagała mu w obowiązkach.

Skończył rozmawiać z pacjentem, po czym minął ją wraz z koleżanką ze stażu i wyszedł z sali. Melody udała się za nim, czując, że stres ściska jej gardło, trzymając na uwięzi słowa.

– Panno Anderson. – Swoim cierpkim tonem niemalże przeciął jej bębenki. – Spóźniła się pani do pracy dwadzieścia minut, nie dając znać, że coś panią zatrzymało.

– Przepraszam, ja...

– Proszę mi nie przerywać – dodał tak surowo, że kiedy wypowiedziane słowa zmieszały się z jego wyrazem twarzy, Melody spuściła wzrok. – Nie toleruję braku punktualności, dlatego panna Kelly potowarzyszy mi przez tydzień. Potem zastanowię się, czy dam pani drugą szansę. Proszę udać się do laboratorium na czwartym piętrze. To będzie pani praca przez najbliższe dni.

Raczej kara, pomyślała.

W jej głowie kotłowały się myśli, że nie zniesie tygodniowych rozkazów Kelly. Była na siebie zła, ponieważ to ona miała dbać o organizację oddziału i zarządzać personelem, a nie Peterson.

– Dziękuję i przepraszam za spóźnienie – odpowiedziała z pokorą.

– I proszę zapiąć fartuch – dodał Osborne na odchodne.

Faktycznie, przez pośpiech nawet go nie zapięła, ale uczyniła to od razu, kiedy doktor zwrócił jej uwagę.

Mogę zapomnieć o zrobieniu na nim dobrego wrażenia. Ta myśl przeleciała przez jej głowę.

Ordynator należał do grupy wyjątkowo surowych nauczycieli, którzy rzadko dawali drugą szansę. Tak czy siak Melody zale-

żało na pracy w szpitalu. Zaszła przecież tak daleko i poświęciła naprawdę wiele przez ostatnie trzy miesiące. Chciała okazywać pokorę i przyjmować wszelkie porady od lekarzy, z którymi współpracowała. W końcu była w najlepszej, pełnej specjalistów, prywatnej klinice w całej Nevadzie.

Gdyby nie skorzystała z tej wiedzy, trafiłaby na listę grzeszników z Vegas.

Niechętnie kroczyła po schodach na czwarte piętro. W duchu modliła się, aby w laboratorium przydzielono ją do badania krwi, a nie pobierania.

Lecz czy dzisiejszego poranka los był dla niej łaskawy? Absolutnie nie.

Powoli otworzyła jasne drzwi i zerknęła najpierw przez niewielką szparę. Kilka par oczu zwróciło się w jej kierunku, nieco ją onieśmielając.

– Dzień dobry. – Weszła do środka. – Nazywam się Melody Anderson – przedstawiła się, ponieważ pierwszy raz miała styczność z pracownikami laboratorium.

Kobieta, która kilka sekund później zjawiła się przy niej, objęła palcami niebieski identyfikator przyczepiony na prawej piersi dziewczyny.

– Stażystka. – Po chwili wypuściła plakietkę spomiędzy palców, a ona bezboleśnie opadła na pierś. Wszyscy poznawali stażystów po kolorze identyfikatora. – Zapraszam. – Wystawiła dłoń w kierunku dziewczyny, zachęcając ją do tego, aby weszła w głąb gabinetu. – Będziesz pobierać krew do badań. Akurat dziś doktor Joyce źle się poczuła i wzięła urlop, dlatego spadłaś nam z nieba.

Melody w myślach przewróciła oczami.

– Potrafisz to zrobić?

Jakże miała tego nie umieć? Dla niej była to najnudniejsza z lekcji, jakie miała w college'u. Pamiętała każdy drobny szczegół i odnosiła wrażenie, że po krótkim instruktażu każdy byłby w stanie wbić igłę w żyłę. Albo po prostu tylko jej wydawało się

to takie proste. Już ciekawszym zadaniem było określenie grupy krwi niż samo jej pobieranie.

– Oczywiście – znowu rzekła z pokorą i delikatnym uśmiechem, choć w sercu czuła palącą zazdrość i piekącą złość na Kelly, która zajęła jej miejsce. Nawet pomimo tego, że wina leżała tylko po jej stronie.

Doktor Marble pokazała Melody, w których szufladach kryją się rzeczy potrzebne do wykonania poszczególnych zabiegów, a już po chwili stażystka zaczęła przyjmować pacjentów.

Kilka minut później próbka małej dziewczynki trafiła za ścianę do badania w celu określenia nieprawidłowości. Starsze małżeństwo weszło do gabinetu zbadać poziom cholesterolu. Z każdym pacjentem panienka Anderson rozmawiała i żartowała. Dobra aura sprawiła, że przestała żałować miejsca, w którym się znalazła, a co więcej, pokochała kontakt z pacjentami.

Przez ostatnie trzy miesiące stażyści byli uczeni obsługi programów komputerowych, zaznajamiali się z układem pomieszczeń, robili zamówienia na sprzęt medyczny. Dowiedzieli się, jak odnotowywać przybycie chorego, opisywać wizyty oraz jak dodawać je do elektronicznej kartoteki. Wszystko to miało ich przygotować do pracy z pacjentami bez większych obaw i stresu.

Jeszcze wtedy Melody nie spodziewała się, że będzie ona tak fantastyczna. Już nie traktowała tego jako kary, a cieszyła się na myśl o kolejnych dniach spędzonych w zastępstwie doktor Joyce.

– Byłaś odważna, Wendy. – Stażystka uraczyła dziewczynkę szerokim uśmiechem, kiedy pochylając się nad nią, przykleiła jej naklejkę dzielnego pacjenta na sweterek. Sięgnęła do szafki po lizaka i włożyła go w drobne ręce dziecka. – Jestem z Ciebie naprawdę dumna. – Poczochrała jej kręcone włosy, w których znajdowały się dwie czerwone kokardy, i wyprostowała sylwetkę, spoglądając na rodziców. – Nasze laboratorium ma najlepszy sprzęt w całej Nevadzie. Wyniki powinny być do odebrania w ciągu trzydziestu minut.

– Rozumiem – odezwał się ojciec, natomiast matka małej dziewczynki skinęła głową. – Pożegnaj się z panią.

– Do zobaczenia, Melody.

– Wendy! – upomniała ją kobieta, podnosząc ton głosu. – Jak ty się zwracasz!?

– Nic nie szkodzi. – Anderson wyciągnęła dłoń w kierunku dziewczynki, ona zaś przybiła jej piątkę. – Oby nie do zobaczenia, bo to będzie oznaczało, że wyniki badań wypadły kiepsko.

Pożegnanie trwało dłużej, niż powinno. Po opuszczeniu przez Wendy gabinetu Melody zerknęła w komputer, chcąc się zorientować, kto następny znajduje się na liście jej pacjentów.

– Gabriel Shannon – zawołała kolejnego pacjenta i zostawiwszy uchylone drzwi, wróciła przed komputer.

Usłyszała trzask, a więc odczytała cel wizyty i wyjrzała przez ramię. Zaniemogła. Powoli obracała się na krześle, po czym wstała, nie zrywając z nim kontaktu wzrokowego. Patrzyła w tęczówki czarne jak noc, z tą różnicą, że nie mogła dostrzec w nich żadnego błysku. Ani jednej małej gwiazdy. Jego wzrok był pusty jak otchłań, z której nie można się wydostać. Przekręciła delikatnie głowę w bok, a jej brwi lekko drgnęły. To sprawiło, że kącik ust Gabriela również drgnął, choć mężczyzna dotychczas nie silił się na choćby najmniejszy uśmiech. Przyglądała mu się z takim zaciekawieniem, jakby zobaczyła coś najpiękniejszego w swoim życiu, i on czuł dokładnie to samo.

Lustrował każdy, najdrobniejszy szczegół jej twarzy oraz sylwetki i umieszczał go gdzieś na dnie swojego umysłu. Tak, aby został bezpiecznie schowany przed widmami, które towarzyszą mu od czasu do czasu. Nigdy w życiu nie poczuł tego, co teraz, choć miał styczność z wieloma kobietami. Aura bijąca od Melody sprawiła, że poczuł się bezpiecznie. Tylko na chwilę, lecz w zupełności wystarczyło. Kiedy przechodził przez próg gabinetu, spodziewał się przecież doktor Joyce, a nie Melody.

Panienka Anderson nadal stała bez słowa. Starła się pojąć, dlaczego ten wysoki i jakże przystojny brunet w jednej chwili tak bardzo ją onieśmielił. Może to nienaganny ubiór, a być może mocno zarysowana szczęka i pełne usta sprawiły, że nie mogła wydobyć z siebie nawet małego pomruku.

Lecz gdyby tylko przyjrzała się nieco uważniej, dostrzegłaby, że to, co tak bardzo ją zaintrygowało, to jego mrok. Równie ciemny jak jego oczy będące odzwierciedleniem pustej duszy.

Dla Melody jednak był jedną wielką zagadką, która niedługo zniknie i zapewne więcej do niej nie wróci. Pomimo wszystko Gabriel był dla niej ogromnie miłym zaskoczeniem.

– Możemy zacząć? – zapytał, splatając dłonie za plecami.

Niski ton jego głosu kilkukrotnie odbił się od skroni Melody, powodując drżenie rąk.

– Tak. Oczywiście. Przepraszam. – Wybudzona z przepięknego snu spuściła wzrok i poruszyła kilkakrotnie głowę na boki. Żałowała, że nie miała rozpuszczonych włosów, za którymi mogłaby schować swoje rumieńce. Wciąż w głowie powtarzała sobie, że Gabriel jest przecież jej pacjentem i nie powinna myśleć o nim, jak o obiekcie zainteresowań. – Odnotuję, że stawił się pan na wizytę. Proszę usiąść i podwinąć prawy rękaw koszuli.

Doskonale wiedział, co ma zrobić. To nie była jego pierwsza wizyta w tym miejscu. Dziś jednak okazała się o wiele ciekawsza. Dopiero po paru sekundach zainteresował się doktor Joyce. Starszą kobietą, która zawsze go zagadywała, a on nigdy jej nie odpowiadał. Nie dlatego, że nie miał ochoty, a dlatego, że jego wyalienowanie go przed tym powstrzymywało. Nigdy nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Lubił opowiadki o codziennym życiu, które dla wielu byłyby niczym interesującym. Jednak Gabriel za każdym razem czuł powiew świeżości, kiedy słuchał o przeżyciach doktor Joyce.

Melody nacisnęła zielonego ptaszka przy nazwisku swojego pacjenta i włożyła dłonie w niebieskie rękawiczki.

– Co się stało z doktor Arabelle Joyce? – zapytał nieco ciekawym, ale też zmartwionym, kiedy stażystka wkładała woreczek do watomieszarki.

– Zachorowała. Tylko ją zastępuję.

Ta odpowiedź go usatysfakcjonowała. Nie dlatego, że poczuł jakieś dziwne bliżej nieokreślone uczucie w kierunku Melody. Cieszył się, że ze staruszką, za którą tak przepadał, nie stało się nic poważnego.

Panienka Anderson ścisnęła opaskę powyżej łokcia, na co Gabriel automatycznie zacisnął pięść, pompując żyły. Czuła się nieco niekomfortowo. Stała blisko mężczyzny, który nawet na moment nie oderwał od niej wzroku.

– Może nieco zabołec – ostrzegła i spojrzała na Shannona, zabierając mu na moment oddech. Z tej perspektywy oraz odległości stała się dla niego jeszcze piękniejsza.

– W porządku – odpowiedział odważnie, a spojrzenie, którym teraz on potraktował blondynkę, sprawiło, że na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

Na ich widok kącik jego ust znów prawie niezauważalnie się unióś.

Onieśmielona, po raz kolejny spuściła wzrok z Shannona. On nie zamierzał tego robić. Pragnął czerpać z niej tyle dobrych uczuć, ile był w stanie. Jak śmierć wysysał najlepsze emocje, z tą różnicą, że Melody miała ich na tyle dużo, że nigdy się nie kończyły.

Dziewczyna wbiła igłę, na co mężczyzna nawet nie drgnął. Odsunęła się kilka kroków w tył. Dopiero teraz cicho wypuściła powietrze, które Gabriel również na moment jej skradł.

– Wcale nie zabołalo – usłyszała w drodze do komputera.

– Może ma pan wysoki próg bólu.

Albo pani jest w tym taka doskonała, pragnął odpowiedzieć, jednak nie mógł sobie na to pozwolić.

Komplementy w towarzystwie martwego wyrazu jego twarzy byłyby tylko nic nieznaczącymi przebłyskami w kurtynie mroku, jaki w sobie posiadał. Znaczyłyby tyle samo co nic. Nie chciał być zbyt nachalny.

Stażystka zerkała w jego kartotekę i dostrzegła, że Shannon regularnie pojawia się w gabinecie doktor Joyce. Wtedy pomyślała o nim dobrze. W końcu krew w szpitalu była na wagę złota, a liczba dawców malała z każdym rokiem.

Kolejne osiem minut spędzili w zupełnej ciszy. Jedyne wzrok Gabriela od czasu do czasu stawał się tak intensywny, że zagłuszał przestrzeń między nimi i nieco ich do siebie przyciągał. Melody starała się skupić myśli na czymś innym niż na brunecie.

– Gotowe – wypowiedziała z ulgą, zakańczając pobieranie krwi.

Przygotowała gazę oraz taśmę i po wyciągnięciu igły zakleiła otwór po wkłuciu.

– Proszę nie odklejać opatrunku przez pół godziny. Inaczej pobrudzi sobie pan koszulę, a krew ciężko się zmywa, gdy zaschnie.

– Dziękuję. – Jedyne to słowo padło z jego ust, kiedy chwycił marynarke.

Panienska Anderson skinęła głową z lekkim uśmiechem, a następnie odwróciła się do monitora, aby zapisać przebieg wizyty. W międzyczasie opowiedziała Gabrielowi o zaleceniach, do jakich musi się zastosować. Wzdrygnęła się, kiedy drzwi zatrzasnęły się z nieco większym hukiem.

W końcu została sama. Ociężała opadła na rozciągający się przed nią blat. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że ciężar, jaki spoczywał na barkach Gabriela, przyniósł także ją, a mrok pokochał.

To twój pacjent, pomyślała.



Zamknął za sobą drzwi i wypuścił głośno powietrze z płuc. Dla dwudziestoosmiolatka było to najlepsze, a zarazem najtrudniejsze dziesięć minut w jego życiu. W jednym momencie zdał sobie sprawę, że bliskość, którą się brzydził, ani trochę nie przeszkadzała mu, kiedy był przy Melody. Jakby jednym niewinnym spojrzeniem spod ukosa i brwiami, które z zaciekawieniem się poruszyły, zabrała cały jego strach. Przez myśl mu nie przeszło, że mógłby zapragnąć poczuć kogoś tak blisko.

Jej wzrok działał na niego jak najlepsza hipnoza oraz kradł na krótką chwilę wszelkie zmartwienia. A on nie chciał się przed tym bronić, ponieważ pieprzone dziesięć minut było ukojeniem dla jego duszy pierwszy raz, od kiedy się urodził.

Zerknął na zegarek znajdujący się na lewej ręce. Za godzinę miał zaplanowane spotkanie w firmie. Wrócił do auta i rzucił marynarkę na siedzenie jaguara. Usiadł za kierownicą i zerwał plaster, który go drażnił, po czym opuścił rękaw.

Tego dnia miał mnóstwo pracy, ale obraz blondynki z tęczęwkami niczym lody pistacjowe tkwił w jego głowie. Wieczorem stanął pod ścianą ze szkła z rękoma splecionymi za plecami. Patrzył na neony, ciągnące się przez całą długość Las Vegas Boulevard¹. Pomimo sporej odległości rozświetlały jego gabinet.

Wyobraźnią malował na szkle obraz Melody. Jej drobną sylwetkę, blond włosy spięte w ciasny kucyk, prosty, niewielki nos i idealnie zarysowaną linię żuchwy. Chciał chociaż na chwilę znowu znaleźć się blisko niej. Jeszcze raz móc na nią spojrzeć.

Obraz, który namalował, wydawał się realistyczny. Jej widok go uspokajał, dlatego zapragnął mieć ją przy sobie na zawsze. Właśnie po to tak długo przyglądał się stażystce. Musiał zapisać

¹ Las Vegas Boulevard – przecinający miasto z północy na południe odcinek o długości 6,8 km, potocznie zwany „The Strip”, to serce miasta, bijące rytmicznie w takt żywiołowej muzyki. Wzdłuż ulicy piętrzą się monumentalne hotele i kasyna, a także liczne restauracje i kabarety. To miejsce zachwyca przede wszystkim nocą, gdy całe miasto rozświetlone jest tysiącem kolorowych neonów (przyp. aut.).

sobie w pamięci każdy drobny szczegół. Nawet niewielki pieprzyk na szyi.

Dotknął szkła i wzdrygnął się, kiedy poczuł pod palcami chłód. Z głębin umysłu wydobył jedno ze wspomnień, kiedy ona złapała jego przedramię. Przypomniawszy sobie miękkość jej skóry i szybko zastąpił zimno ciepłem.

Odsunął się kilka kroków w tył, aby móc spojrzeć na to, co namalował na szybie. Jego Melody też była perfekcyjna w każdym calu. Pozwolił jej odejść, zasuwając grube ciemnoszare zasłony. Stał w mroku pośrodku biura, będąc gotowym na to, co nastanie w nocy. Obrócił głowę w stronę okien. Już jej nie widział, ale wiedział, że gdy duchy powrócą, ona z nim będzie i mu pomoże.

Po omacku odszukał włącznik lampki stojącej na biurku. W gabinecie nastał półmrok, pozwalający spakować mu wszystkie potrzebne dokumenty do aktówki.

Opuścił biuro, zostawiając podobiznę Melody na szybie. Nacisnął przycisk windy i po raz ostatni dzisiejszego dnia spojrzawszy na dębowe drzwi. Widniała na nich tabliczka z napisem „Vincent Shannon”. Rozczarowany spuścił wzrok. Drzwi windy rozsunęły się, a Gabriel wszedł do środka. Ściągnął marynarkę i spojrzawszy na czerwoną kropkę w okolicy łokcia.

Część Melody zabiorę do domu, pomyślał.

– Dorothy? – zawołał, kiedy rzucił okrycie wraz z aktówką na kanapę w salonie. – Dorothy? – ponowił wołanie, gdy nie usłyszał odpowiedzi.

Czuł, jak bicie jego serca nabiera tempa. Czarny krawat zacisnął się wokół szyi niczym pętla z sennego koszmaru. Tak mocno, że nie był w stanie złapać powietrza.

Zamknął oczy. Umierał. Razem z nimi wszystkimi.

– Gabrieliu... – Wszystko ustało w momencie, kiedy zerknął na okno, w którym odbiła się kobieca twarz. – Wcześniej wróciłeś.

Dorothy odpędziła duchy, które chciały go zabić. W końcu przed laty też miał się stać jednym z nich. Być może właśnie

dlatego wciąż się pojawiały. Chciały mu przypomnieć, że powinien należeć do nich. Jednak dziś niczego nieświadoma gosposia znów wyciągnęła go z otchłani.

Nigdy nie chciał tam trafić, choć wiedział, że ze światem mroku łączy go o wiele więcej niż z rzeczywistością, w której się znajdował.

– Szybciej uporałem się z pracą. – Przełknął głośno ślinę i poluźnił krawat.

– Zrobiłam makaron ze szparagami.

Stał po drugiej stronie wyspy. Dorothy odwróciła się, trzymając w dłoniach patelnię wraz z łąpatką i spojrzała na zgięcie łokcia mężczyzny.

– Znowu oddawałeś krew? – zapytała, a on wysilił się jedynie na skinienie głową, po czym okrążył wyspę i stanął obok kobiety.

Wyciągnął z jej rąk patelnię oraz drewnianą łąpatkę i pomógł jej nakładać kolację na talerze.

– Jak on się czuje?

– Bez zmian, ale nie traćmy nadziei, Dorothy. – On ponownie swoją odzyskał, dzięki lekarce.

Dla Gabriela był to naprawdę dobry dzień.



Doktor Osborne głośno wypuścił powietrze z płuc, wypełniając nim policzki. Miał dość dzisiejszego dnia i towarzystwa Kelly. Uważał, że nie zasługuje na miejsce obok niego, jednak duma i nad wyraz przerośnięte ego nie pozwalały, aby odpuścić Melody. Nie chciał, aby cała reszta stażystów pomyślała, że stracił kontrolę nad swoją surowością.

– Ordynatorze. – Został zatrzymany na schodach przez doktor Marble.

Zerknął w górę przez barierkę, krzyżując z nią spojrzenia, a ona natychmiast zbiegła na jego poziom.

– Słucham. Jest jakiś problem?

– Żaden problem. Stażystka... jak ona miała. – Kręciła głową i pstrykała palcami, szukając w umyśle nazwiska dziewczyny.

– Melody Anderson – dodał, zdając sobie sprawę z tego, że właśnie ją dziś ofiarował lekarce.

– Dokładnie. – Szybko wskazała palcem na doktora i ugięła na moment kolana.

On natomiast ruszył przed siebie, zostawiając ją za sobą.

– Jest świetna. To, jak dzisiaj zajmowała się pacjentami...

– Wiem, że jest świetna. Nie musisz mi tego mówić – rzucił zezłoszczony i zniknął za drzwiami gabinetu.

Przez ostatnie trzy miesiące słyszał same dobre rzeczy na temat paniienki Anderson. Pluł sobie w brodę, że rano tak ją potraktował, jednak bariera surowości, jaką postawił między sobą a stażystami, nie pozwalała mu na to, aby zachował się inaczej. Jednocześnie sam skazał się na tydzień koszmaru u boku Kelly, która dla niego żyła w zupełnie innej rzeczywistości.

Przeglądając dokumenty, usłyszał na korytarzu kroki. Pośpiesznie wstał i zerknął, kto pojawił się za drzwiami. Ujrzał Melody, która oczekiwała na windę. Patrząc na nią, przeszło go palące uczucie wyrzutów sumienia.

– Panno Anderson – zwrócił na siebie jej uwagę. – Zapraszam na chwilę do siebie. – Zostawił otwarte drzwi, a kiedy stażystka przeszła przez próg, poprosił, aby usiadła naprzeciwko niego.

Odłożył na blat dokumenty, które wcześniej na moment pochwycił z nerwów. Splótł dłonie i spojrzał na dziewczynę, która nie była w stanie wydobyć z siebie nawet słowa.

– Melody. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, i to tak spokojnym tonem.

Blondynka nawet przez moment pomyślała, że zrzucił maskę surowego nauczyciela.

– Byłaś najlepsza na roku na swojej uczelni. Może nie był to Harvard, ale nie każdy wybitny lekarz musi ukończyć drogie studia.

– Chce mnie pan wyrzucić ze stażu? – wypaliła, na co on parsknął, a jego usta rozciągnęły się w niewielkim uśmiechu.

Rozbawiło go to.

– Chciałem ci powiedzieć, że doktor Marble wypowiadała się w samych superlatywach o twojej pracy w laboratorium. W ciągu ostatnich trzech miesięcy każdy lekarz, z którym współpracowałeś, opiniował cię naprawdę dobrze.

Tym wyznaniem sprawił, że twarz Melody na moment się rozpromieniła, a z serca spadł ogromny głąz.

– Bardzo mi miło.

– Właśnie dlatego chciałem sam sprawdzić twoje umiejętności. – Czuł potrzebę wytłumaczenia się przed blondynką o drobnej posturze. – Jednak ponad wszystko cenię sobie punktualność. Liczę, że za sześć dni nie spóźnisz się do pracy.

– Czy chce mi pan przez to powiedzieć, że nasza współpraca jest nadal aktualna?

Skinął głową z lekkim uśmiechem, sprawiając, że serce panny Anderson momentalnie się rozgrzało.

– Dziękuję za drugą szansę.

– Wracaj do domu, Melody. Zasłużyłaś na odpoczynek. – Doktor Osborne wsunął na nos okulary w czarnych, eleganckich oprawkach i chwycił dokumenty z biurka.

– Do zobaczenia.

Stażystka wstała i opuściła Summerlin, zostawiając w nim ordynatora, który za moment również miał zamiar wrócić do domu. Udała się na przystanek autobusowy i po dwudziestu minutach pokonywała drogę do mieszkania. Ze skrzynki na listy wyciągnęła pocztę i udała się na górę. Wciąż myślała o tym, że została doceniona przez samego Osborne'a, co ją satysfakcjonowało.

Po wejściu do mieszkania odwiesiła kurtkę na haczyk, a klucz, spoczywający w zamku, przekreśliła jeden raz, zamykając się od środka. Włączyła czajnik i przygotowała kubek, do którego wrzuciła zaparzacze pełen lawendy i łyżkę cukru.

Opadła na sporych rozmiarów kanapę. Pomiedzy ulotkami i gazetami promocyjnymi odszukała list od zarządcy budynku. Rozerwała kopertę i wyciągnęła biały papier ze środka. Wodziła wzrokiem po literach, a każda kolejna sprawiała, że na twarzy pojawiał się grymas rozczarowania i strachu.

Dla Melody to był jednak fatalny dzień.

Nic nie tworzy przyszłości tak jak marzenia.

~ Victor Hugo